Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca. Prenumerata kwartalna 1 kor. 20 hal.; zeszyt pojedynczy 25 hal.

ŚWIT

DWUTYGODNIK DLA MŁODZIEŻY

Redakcya i Administracya Wiedeń, I. Wipplingerstrasse 12. Codziennie od 6—8 wiecz.; Redaktor przyjmuje w poniedziałki i czwartki.

Nr. 1. 1 Stycznia 1916. R. I.

Młodzież a młodość.

Pismem młodzieży nazwaliśmy „Świt" — a winniśmy byli raczej nazwać go pismem Młodości polskiej. Bo nie o zachowanie i wzmocnienie tych granic nam chodzi, któremi liczba lat przeżytych odcina jedną warstwę narodu od całości. Dziś szczególnie dążenie takie byłoby wbrew tej prawdzie radosnej, iż przy sztandarze wspólnej Idei, z gotowością do ofiar wszelkich i w jednym szeregu zbrojnym, na śmierć lub zwycięstwo, stanęli obok siebie ojcowie i dzieci, „starzy" i „młodzi". Nie o wiek nam zatem idzie. a tylko o tego właśnie ducha ofiarności i zapału, wytrwania i odwagi i wiary, niczem niezachwianej. Temi tylko siłami wyzwalają się, utrzymują i rosną narody i te to siły stanowią Młodość, bez której żaden naród nie może trwać.

Dążeniem pisma naszego będzie Młodości tej wszystkie przejawy, w kimkolwiek i gdziekolwiek się one w narodzie naszym zaznaczą, skupić i oświetlić, a przez to rozkrzewić i umocnić je w naszej duszy społecznej. Rozpoczynamy więc pracę swoją nie z takim czy innym programem partyjnym, a tylko jako pracownicy Wolnej Polski, która dziś z krainy dążeń i marzeń w rzeczywistość schodzi krwawą a błogosławioną. Myśl o jedności narodowej, tak dziś i zawsze pożądanej, choć bez wątpienia tak trudnej do osiągnięcia, przyświecać będzie zawsze najskromniejszym nawet usiłowaniom naszym. Nie chowa się jednak pod skrzydła tej myśli kłamstwo o bezwzględnej harmonii i o szkodliwości walki z wrogiem wewnętrznym. Ale trzeba rozróżnić jasno, kto, a raczej co nim jest.

Wrogiem młodości, wrogiem życia jest starczość. Niedołęstwo myśli i czynu, zwątpienie o sile narodu i brak woli zdobywczej, frazes szumny a łatwy zamiast szczerego przekonania — oto cechy jej, dobrze nam, niestety, znane. Są one zresztą tylko źródłem rozlicznych przejawów, jednostkowych i zbiorowych, któremi nasycona wogóle kultura dzisiejsza, a więc i nasza. Z tym wrogiem, zmieniającym wciąż maskę i nazwę, z tą starczością, której żywotność tkwi w rozkładzie i zarażaniu rozkładem, walka się toczyć musi czujna i bezwzględna.

Jednak pewną jest rzeczą, że najskuteczniej wroga tego zwalcza ten, kto w sobie i naokół siebie utrwala i pogłębia siły młodości. Najbezpieczniejsze przed zjadliwymi zarazkami jest społeczeństwo, w którem rośnie ciągle liczba jednostek i zrzeszeń zdrowych i zdobywczych, a więc zagarniających dla siebie coraz więcej obszaru życia narodowego. Ten rodzaj walki ma nad innemi przewagę taką, że nie zużywa sił, a przeciwnie skupia je, posługuje się niemi planowo, a przez to je wielokrotnie pomnaża. I nie ma obawy, iżby ktokolwiek, nabywszy tak mocy i jasności, nie poznał we wrogu wroga i nie umiał w potrzebie użyć przeciwko niemu oręża i zmierzyć się z nim skutecznie.

Chcemy więc stanąć w jednym szeregu z tymi, którzy stanowią i tworzą młodość polską. Do młodzieży, tej, która już wchodzi lub weszła w szersze życie społeczne, zwracamy się przedewszystkiem. Wszak

ona rozstrzygać będzie o charakterze naszym zbiorowym w najbliższej przyszłości. W polityce i kulturze, w dziedzinie gospodarczej i umysłowej, w charakterze wykonawcy i kierownika, twórcy i pracownika powszedniego — brzemię odpowiedzialności spadnie na nią już jutro. A właśnie dziś, w okopach, krwawiących się młodą krwią polską i poza niemi, na posterunkach wspólnej wszystkim idei, rosną i potężnieją, w stratach nawet pomnażają się siły młodości, które należy zachować i przenieść bez uszczerbku poza granicę dzisiejszej, przejściowej potrzeby. Nic z tego, co się dziś zyskuje, nie winno ulec zatraceniu. Ofiarność i bohaterstwo, wytrwałość i wiara utrzymać się muszą na dobro dnia jutrzejszego i wycisnąć znamieniem głębokiem na wszystkich trudach w nadchodzącej już, zdobywanej dziś Wolnej Polsce.

Pragniemy budować łączność między dniem dzisiejszym a naszem jutrem, ażeby szczytny duch legionowy ożywiał każdą myśl i każdą pracę naszą, w czasie, kiedy walka o dobro narodowe, choć bezkrwawa, nie mniej ducha tego wymagać będzie. Ten duch, w porywie najpiękniejszym wiodący odrodzone dziś rycerstwo polskie, musi przeniknąć potem każdą, najmniej nawet głośną służbę i zasługę społeczną. Musi z chwili przejść w ciągłość, z niezwykłości w powszedniość. I nie utracić przytem nic z piękna swego, z blasku młodości, która dziś czoło mu zdobi. Zadanie to niesłychanie trudne, ale dość, jeżeli wzywać będzie jako ideał i dążenie. W pierwszym zaś rzędzie powołane do niego jest pokolenie młode, przyszli włodarze i szafarze narodu.

Temu zadaniu szczytnemu pismo nasze chce służyć przedewszystkiem i dlatego nie będzie w niem niczego, coby nie świadczyło o zdobywczej woli narodu, coby się nie narodziło w miłości idei najwyższych i służyć nie mogło za wzór i bodziec.

Od tych, do których się zwracamy i od społeczeństwa całego zależy, czy to pole pracy naszej, jakiem ma być „Świt", ozłoci się kłosem bujnym i doczeka słonecznych dni żniwa.

Starym ojców naszych szlakiem.

Starym ojców naszych szlakiem
przez krew idziem do wolności!...
Z dawną pieśnią — z dawnym znakiem!...
my — żołnierze sercem prości,
silni wiarą i nadzieją,
że tam kędyś, świty dnieją!

Zawołały ku nam zdala
starych haseł złote dzwony!
Zaszumiała kłosów fala...
wiatr z dalekiej powiał strony,
i na Złotym zagrał Rogu
pieśń o sławie — i o wrogu!

Zamarzyły się nam czyny
z pod Grochowa — Ostrołęki!
Krwawych ojców krwawe syny,
zapragnęlim świeżej męki,
bowiem w grobach kości stare
wciąż wołały: „exoriare"!

Starym ojców naszych szlakiem
przez krew idziem w nowe zorze!
Z dawną pieśnią — dawnym znakiem,
po wyroki idziem boże,
w przełomowej dziejów chwili,
którą w snach my wymodlili!

Niech za nami nikt nie woła,
niech tam po nas nikt nie płacze!
Górą jasne niesiem czoła,
radość w piersiach nam kołacze,
duma ogniem lica płoni,
że idziemy, jako... Oni!

Starym ojców naszych szlakiem
przez krew idziem w Jutra wschody!
Z dawną pieśnią, dawnym znakiem
na śmiertelne idziem gody,
by z krwi naszej życie wzięła
Ta, co jeszcze nie zginęła!

Józef Mączka, Legionista.

Legiony.

„Iść naprzód — zwyciężać lub ginąć — to całe przykazanie — cała formuła!"
Ze St. Witkiewicza „Ostatnich słów."

W rocznicę 29. listopada.

Goniec polowy Legionów, jako Dz. rozp. komendy Legionów polskich, ogłasza pod datą 29. listopada następujący rozkaz dzienny Nr, 174:

Żołnierze Legioniści! Już po raz drugi z kolei w polu bitewnem z karzącą bronią w ręku i w otwartej pierś przeciw piersi walce z dziedzicznym wrogiem ojczyzny dostępujecie zaszczytu godnego uczczenia rocznicy rycerskiego porywu naszych dziadów, świetlnych mścicieli narodowej niewoli z roku 1830. Jak oni, sprawnie działając w ramach wojskowo zorganizowanego związku, łącząc tradycyjne męstwo ze wskazaniami nowoczesnej techniki i sztuki wojennej, skutecznie krusząc odwieczne kajdany, jedyny argument dzikiego zaborcy, wywalczacie racyi polskiej po latach bezdomnej tułaczki sprawiedliwie należne jej miejsce. Duma rycerskiej tęsknicy za czynem orężnym, godnym wielkich w ojczyźnie poprzedników, pokonawszy mrok i ciszę długich narodowych nocy zleciła Wam legioniści, w roku wojny wszystkich przeciw wszystkim, obowiązek gromkiego przypomienia światu nieprzedawnionych pragnień Narodu. Przez ważkie czyny waszego oręża naród zgłosił swe prawa do bytu, który na gruzach tyranii moskiewskiej ma w pełni zajaśnieć i narodom przez ciemięzcę w niewolę pognębionym wymierzyć słuszną sprawiedliwość za wiek udręki i lata dla cywilizacyi stracone.

Naród wam zlecił zmódz tego, co gnębił ciało i usiłował kalać duszę; nakazowi temu byliście posłuszni, niosąc niezwalczony sztandar bojowego czynu od krańca do krańca dawnych dzierżaw Polski. Nadziejom, pokładanym w waszej dzielności i sprawności, daliście pełny wyraz, wykroczywszy znacznie poza granice, zakreślone dla pochodu waszego oręża przez najśmielszych w narodzie. Nie było zadania zbyt trudnego dla waszej chęci łamania potęgi nieprzyjacielskiej, niema trudu, któregoby nie pokonał wasz zapał i wiara w słuszność sprawy. Tęczę krwawych blasków, bijących w wiekopomną rocznicę od wsławionych pól Wawru, Grochowa i Ostrołęki, wzbogaciliście purpurą krwi ofiarnej, użyźniając wielkoprzestrzenne rozłogi Ojczyzny od dzikich pól Bessarabii po polesie Wołynia. Hasła wyzwoleńcze listopadowej instrukcyi po długich dziesiątkach lat odżyły teraz w niezawodnym ciosie waszych bagnetów, świadcząc dowodnie, jak idące w przyszłość pokolenia nawiązują nić czynu z dawnymi laty. Naprzód, za przyszłość i ostateczne zwycięstwo.

Zjednoczenie Brygad Legionowych odbiło się echem radośnem w szeregach i znalazło wyraz gorący w odezwach Wodzów:

„Z sercem wezbranem szczerą dumą i radością (czytamy w Rozkazie marszałka polowego Durskiego z dnia 25. października 1915) zwracam się dzisiaj do wszystkich trzech brygad Legionów polskich, zebranych po raz pierwszy na wspólnym odcinku...

...Oto wypróbowany szermierz ideałów legionowych, polskiej kultury militarnej i czynów wojennych świetny reprezentant, druga brygada Legionów polskich, po długiej i ciężkiej rozłące, wsławiwszy trwale oręż i hart polski na kresach, godnie i po rycersku spełniwszy powierzone jej zadanie, przybyła dziś do nas z dalekiego pogranicza Bessarabii, by odtąd na wspólnym już terenie, ramię przy ramieniu z pozostałymi oddziałami legionowymi skutecznie zwyciężać nieprzyjaciela.

Znikło fizyczne oddalenie i od dziś nie tylko duchem i sercem, ale i ciałem jesteśmy wszyscy obok siebie, zebrani pod dumnie rozpostartym Legionów proporcem.

Zjednoczenie sił militarnych dokonało się na rubieży dawnych dzierżaw polskich w chwili pełnego rozwoju oddziałów legionowych i rocznicę zwycięskiego boju pod Nadwórną. — Ten zbieg dat i okoliczności, mówiących mocną symboliką, niechaj się stanie pięknowróżbnym programem wojennej pracy naszej na dni najbliższe."

Do złączonej Brygady Pierwszej przemówił komendant Piłsudski dnia 29. listopada; rozkaz ten zaczyna się słowami:

„Żołnierze! Po półtoramiesięcznej rozłące oddział, któremu mam zaszczyt przewodzić, złączył się znów. Czułem, jak radośnie biło wam wszystkim serce, widziałem, jak weselem błyszczały oczy, gdy jedni usłyszeli dźwięk muzyki nadciągających pułków, drudzy śpieszyli, by ujrzeć znajome twarze starych towarzyszów broni. Znowuśmy razem, silni łącznością, mocni wspólną pracą w przyjacielskiem serdecznem kole robioną. Nie mamy potrzeby drżeć o los i sławę podzielowych części, wiemy, że w naszem zespolonem i zgranem gronie zniesiemy największe ciężary."

Kaszubski.

Dnia 10 sierpnia 1914 r., koło godziny 6 wieczorem, w Krzeszowicach, podszedł do naszego bezpańskiego plutonu nowotarskiego, niziutki, krępy, nie ubliżając pamięci — trochę niesamowity człowiek. Wyglądał na trzydziestkę, stanął przed frontem w towarzystwie jakiegoś starszego oficera i głosem absolutnym objął nad nami komendę. Nam się to nie spodobało. Oczywiście. W plutonie chłopy na schwał, góral w górala, a tu komendant taki jakiś... Do tego nie góral. Ale ten mały człeczyna w lot wyczuł nasze wyczekujące wobec niego usposobienie. Stanął przed nami, objął nas szeroko rozwartemi oczyma, wsparł się na szabelce, podkręcił rozlazłego wąsika i zaczął: Nazywam się Król. W Związku strzeleckim znają mnie. Jestem dumny, że dostałem pluton, w którym są sami Podhalanie. I wy będziecie ze mnie zadowoleni. W służbie wymagam bezwzględnej karności i posłuszeństwa, poza służbą jesteśmy sobie rowni — obywatele. No — cóż było robić. Brał człek Werndla na ramię i robił, co Król kazał. Wreszcie uformowali nas w kompanię i o dobrym zmroku ruszyliśmy z Krzeszowic ku Królestwu Polskiemu. Król kazał nam śpiewać marsze góralskie. To nas ujęło. Sam śpiewał z nami:

Hej idom chłopcy, hej z popod Tater,
Hej podmuchuje szumny wiater,
Hej podmuchuje, leci z nowinom,
Że strzelcy idom ku dolinom.

Podczas swobodnego marszu przez lasy pograniczne zaczęliśmy z Królem rozmawiać. Podobał się nam coraz bardziej. Zaczęliśmy się trącać ramionami i szeptać jeden do drugiego, że komendant to „wcale sympatyczny chłop". Taki — Wołodyjowski. Nazwaliśmy go sobie tak odrazu. Jemu się to spodobało. Gdyśmy się zbliżali ku granicy, postanowiliśmy nie dać go sobie odbić do żadnego innego plutonu, postanowiliśmy sobie pod Wołodyjowskim służyć i być zażartymi żołnierzami Wołodyjowskiego. Nasz Wołodyjowski był rozrzewniony. W blasku księżyca widać było, jak oczka błyszczały mu wzruszeniem i otuchą, a wąsiki poruszały mu się niespokojnie. Tuż przed granicą, na zarosłej trawą drodze polnej, wśród zbóż dojrzałych, rozwianych lekkim, chłodzącym powiewem wiatru, w jedną z najpiękniejszych nocy księżycowych — wypadł nam krótki odpoczynek. Kompania rozłożyła się w upojnym chłodzie nocy sierpniowej wzdłuż drogi. Zabrzmiała pieśń gromka i uroczysta: „Nie damy ziemi, skąd nasz ród"... A potem nawoływania, rozmowy, powitania, którzy się w tłoku

nie zauważyli. Nasz Król, stary strzelec-związkowiec, był przedmiotem ogólnych owacyi. Gdy przy naszej kompanii uciszyło się nieco, siadł Król pomiędzy nami i głosem spowiednym buntownika mówił: ,,Polubiłem was, chłopcy, odrazu. Musimy się stać plutonem nad plutonami. Ja... osobiście mam stare rachunki z Moskalami. Ja nie nazywam się Król. Jestem Stanisław Kaszubski, a jako Króla znają mnie Moskale z r. 1905. Musiałem uciekać z Królestwa i czekać sposobności, by móc pomścić krew bratnią, w r. 1905 przelaną, szubienice i lochy więzenne. Otwarcie staję już do boju, pod swem nazwiskiem. Dość mi już tych wszystkich konspiracyi.“ Szliśmy marszem przez Racławice, Skałę, Miechów, Jędrzejów. Kaszubski żył nami — można powiedzieć. Spał z nami, jadł z nami, wymyślał nas i chwalił, za wzór stawiał innym i nagle spychał z wyżyn na padół ostatnich dziadów, nie — żołnierzy polskich. Aleśmy go zawsze lubili. Bo choć był wymagającym komendantem plutonu, nie mogliśmy powiedzieć, aby był kiedykolwiek pobłażliwym dla siebie. W Kielcach, na folwarku Piaski, przechodziliśmy dopiero faktycznie szkołę żołnierską. Materyał pod względem wykształcenia był nierówny, nie wszyscy żołnierze bowiem wyszli ze szkół strzeleckich. Kaszubski przy swym dość porywczym i nierównym, ale zawsze szczerym temperamencie, zrobił z nas wnet żołnierzy, w całem tego słowa znaczeniu. Znalazł wśród nas i podoficerów, do których i ja należałem. Służba rozdzieliła nas. Ostatni raz spotkałem Kaszubskiego w Nowym Targu, w dniu odmarszu jego pod Tarnów — przed świętami Bożego Narodzenia. Był zmęczony. Pomimo to nie tracił humoru i z radością wspominał ,,czasy kieleckie“. Rozstaliśmy się wtedy — już na zawsze. Kaszubski nieraz z pewnego rodzaju lękiem przypuszczał do siebie myśl o ewentualnem dostaniu się do niewoli. ,,W łeb sobie palę wtedy — natychmiast.“ Tak mawiał. Inna śmierć była jednak mu sądzona. Zginął jak zginęło wielu towarzyszy jego w 1905 r. — nieugięty i dumny. W obliczu śmierci wyznał, iż jest wiernym synem tej ziemi, która mu jest ponad wszystkich i wszystko drogą matką, sponiewieraną przez Moskwę. Był tej ziemi-matki żołnierzem prawym do ostatniego tchu. Gdy Moskale na szubienicę go wiedli w Pilźnie — jeszcze raz zawołał: ,,Jeszcze Polska nie zginęła!“ I z tym okrzykiem umarł. Syn Królestwa Polskiego, jeden z pierwszych w szeregach 1. Brygady, jeden z upartych w boju.

Cześć Jego pamięci! Feliks Gwiżdż.

Z listów ś. p. Antoniego Łuby-Górskiego

Sierżanta I. Baonu., I. Brygady.

List ten piszę w swoim własnym świeżo rozpiętym namiocie. Pogoda cudowna — wiosna w pełnym rozkwicie i — świst granatów do nas adresowanych. Przerywam sobie, od czasu do czasu spoglądając na leżącą po moskiewskiej stronie wioskę, w której nasza artylerya zapala kolejno chałupy, jedną po drugiej, celnie wymierzonemi granatami. Jest tam podobno jakiś magazyn rosyjski. W górze warczy aeroplan, czyj nie staram się nawet dojrzeć. Tuż nad głową słychać świergot jaskółek. Armaty ciągle huczą. Na pozycyach spokój. Zrzadka tylko huknie strzał karabinowy, widocznie jakiś odważniejszy pokazał się Moskal. To jest cała dekoracya wojny. Pozatem wszystko płynie swoim torem. Ten sam ruch po wsiach i ogromnie małe zainteresowanie się chłopów wszelaką strzelaniną. Prawda, że to poprostu sielanka?

Tak, lecz ta sielanka ma trochę inny wygląd w nocy. Aby nie nastąpiło rozczarowanie, że to ,,taka wojna“, poniżej opowiem o jednym z naszych nocnych ataków — czy wywiadów. Otrzymujemy rozkaz przejścia w bród przez rzekę i zaalarmowania Moskali na ich pozycyach; tudzież zrobienia wywiadu, gdzie istnieje bród, by można przejść przez błota i rzekę. Rozkaz. Godzina więc 12 w nocy. Zbiórka. Bierzemy do rąk dwumetrowy kij — zrzucamy plecaki, zostawiając sobie tylko karabin z nabojami na drogę! Wyobraź sobie, że to już zupełnie inna dekoracya, ale równie śliczna — i więcej nawet romantyczna! Jest nas około 60 ludzi. Przechodzimy swoje wedety, druty kolczaste. Cudna, cicha noc. Z nad łąk i pól podnoszą się ku mnie lekkie białawe opary. Cisza. Słychać tylko żałosne zawodzenia czajek i kozodojów. Idziemy tedy cichutko, dwójkami, z bagnetami na karabinach — człapiąc po błotach. Tu bród. Bez namysłu wchodzimy do wody. Na szczęście nie głęboko. Tylko do pasa. Tu się nam kije przydały — pomagając nam opierać się prądowi, w tem miejscu bardzo silnemu. U Moskali cisza — nie strzelają — a przecie muszą nas widzieć jak na dłoni. Spieszymy, by nie być zabitymi, bodaj w rzece. Znajdujemy wysepkę. Odpoczywamy i gramolimy się na drugi brzeg. Podchodzimy coraz bliżej moskiewskich okopów. Padamy. Wywiadowcy idą naprzód. Oczekujemy strzałów, reflektorów. Nic. Ciągła denerwująca cisza. Pomyśleć, że widać placówki moskiewskie, a tu bez rozkazu strzelać nie można. My milczymy. Wywiadowcy wracają. Okazało się, że Moskale również przeszli przez rzekę i bez jednego strzału chcieli nas otoczyć i wziąć do niewoli. Ładna perspektywa! Cofamy się więc — wracamy tą samą drogą w bród, nie zaczepieni przez Moskali — i wkrótce zabłoceni, jak nieboskie stworzenie, zmoczeni do pasa — ale zadowoleni z wynalezienia brodu i udałego wywiadu, wracamy. Wprawdzie strzelanina na prawem skrzydle trwa dalej — armaty huczą, ale nas to już nie obchodzi.

Prawda, romantycznie? Tak się cieszę, żem brał udział w tej wycieczce.

— — — — — — — — — — — — —

A jednak, kiedy tak leżałem w błocie przed pozycyami moskiewskimi, myślałem o muzyce i śpiewie. Zdawało mi się, że widzę jakąś czarną główkę, pochyloną w rozmowie ze mną. W ostatniej rozmowie. Scenerya z Warszawianki. Ciekaw jestem tylko, czy zakończenie będzie takie same. Widzę tę grupkę nas młodych, idących w bój... i Wy. I dziwna tęsknota i smutek. Bo mi się zdaje, że to już nie wróci wszystko i — ja nie wrócę.

Z pamiętnika Legionistki.

(Urywek z obszerniejszej całości, zamieszczonej w lubelskiej „Jednodniówce“ listopadowej.)

Podeszliśmy wąwozem o kilkaset kroków od pozycyi moskiewskich.

Drugi pluton poszedł pierwszy. ,,Mochy“ ostrzeliwali go zawzięcie. Plutonowy został ranny w głowę; z twarzą całą w krwi miał na tyle siły, że przyszedł do nas, opatrzono go i poniesiono dalej.

Odpoczywaliśmy gwarząc. Brat mój siedział opodal od nas i był smutny. Nie odzywał się, on zawsze taki wesoły i dowcipny, żartujący ze mnie — żołnierza, teraz siedział zamyślony i tylko jednego po drugim ćmił papierosa. Kolega jego szkolny rozmawiał ze mną, chcieliśmy ściągnąć go do rozmowy; uśmiechał się smutno i nie odzywał się wcale.

Przyszła i na nas kolej ataku; padła komenda ,,w tyraliery i biegiem do okopów“, szybko rozwinęliśmy się i dopadliśmy okopów; moskiewskie były o jakich 300 kroków od

naszych; strzały padały gęsto, ale przy przebieganiu nikogo nie trafiono; gdy wskoczyliśmy do okopów zaczęliśmy strzelać gęsto; trudno było się powstrzymać, gdyż Moskali było widać doskonale. Brat mój jako kapral, poszedł ze swoją sekcyą na prawo od nas, tak że nie mogłam być w jednym z nim okopie.

Zapalił się brat podczas strzelania, bo nie zawsze się ma tak dobry cel, zapomiał, że stojąc w okopie jest sam doskonałym celem dla Moskali; nie było przy nim nikogo, ktoby mu zwrócił uwagę; strzleał też bez ustanku, ciesząc się że zabił jednego, drugiego, gdy w tem został sam zabity. Dostał ekrazytówką w czoło. Śmierć miał lekką. Nie wymówił ani słowa, nie jęknął.

Zabity brat mój, towarzysz i opiekun w wojsku, najlepszy kolega. Gdy się o tem dowiedziałam — nie wierzyłam; nie mogło mi się w głowie pomieścić, że go już niema, gdy w tem naocznie przekonałam się; musiałam uwierzyć....

Nie płakałam, choć płakałabym pewnie w czasach pokojowych, ale tam w okopach zmiejsza się żal; za chwilę i ja tak mogę leżeć z roztrzaskaną głową. Zostaliśmy z jego kolegą w jednym okopie; on stracił towarzysza lat dziecinnych i kolegę szkolnego; ja brata i najlepszego opiekuna. Wspólny smutek kazał nam się trzymać razem i naprawdę byliśmy nierozłączni; gdy ja paliłam się do strzelania i do połowy wyłaziłam z okopu, on zmuszał mię do schowania się i strzelania z ukrycia. Przesiedzieliśmy w okopach 3 doby, ciągle czuwając. Spać nie było można, zresztą głodno i chłodno.

Moskale strzelali celnie — trupów było wiele, bardzo wiele, cała tyraliera za okopami, chować ich było niepodobieństwem. Pozycya była w lesie, nie było drzewka całego, wszystko jak kosą poscinane od kul ekrazytowych.

W nocy spadła mi raptem gałęź na oczy, nic nie widać, ciemno, zaczyna się strzelanina z obu stron.

Amunicyi nam dostarczają bez ustanku, wedeły wystawić niepodobna, więc wszyscy musimy czuwać noc w noc. Dostaliśmy pół bochenka chleba i jednę konserwę na doby, papierosów wcale.

Pamiętam w dzień wilii przyszło kilku towarzyszów do naszego okopu złożyć życzenia i podzielić się z opłatkiem, którego nie mieliśmy.

Wydobyliśmy z plecaków żelazną porcyę, po kilka małych sucharków i po kawałku cukru i to zastąpiło nam wieczerzę wigilijnę; popijaliśmy wodę z ruczaju zasłanego trupami.

Na trzecią noc zarządzono wycofywanie się, by w godzinę potem znów wrócić do tych samych okopów.

Gdy wracaliśmy podchodzili do mnie starzy towarzysze broni i radzili mi zostać, gdyż na pewno idziemy na bagnety i wielu z nas nie wróci... Jakto! ja, która zawsze dzieliłam z nimi smutki i wesele, teraz, gdy najgorsza nadeszła chwila, mam zostać w tyle? nie, nigdy! Chciałam iść w pierwszej patroli, ale mi nie pozwolono. Poszliśmy; przednia patrol tylko zginęła, my z powrotem dostaliśmy się do naszych okopów, gdzieśmy przesiedzieli do 3ej popołudniu dnia następnego...

Cofaliśmy się pod strasznym ogniem. Moskale szli już na bagnety o kilkadziesiąt kroków byli od nas.

Po trzechdniowem czuwaniu zmęczeni i głodni cofaliśmy się kilkakilometrowym lasem, ostrzeliwani ogniem karabinowym i artyleryjskim. Gdy się ściemniło zupełnie, zatrzymaliśmy się, by mogli się zebrać żołnierze rozprószeni po lesie. Dziwna to była zbiórka! Przy blasku księżyca wyłaniają się z krzaków ciemne postacie i słychać głosy: „kompania I. batalion II" i t. d. Dowiadywano się kto zginął: Józek, Stach, Michał i t. d. Szkoda, dobry był chłopak!

I narzekaliśmy: tyle trupów, tylu rannych, zdobyliśmy trzy z okopów moskiewskich odrutowanych po to, żeby teraz się cofać.

Gdyśmy się zebrali, poszliśmy do wioski przepędzić tam resztę świąt Bożego Narodzenia; tam dostaliśmy podarunki świąteczne. Przesłane były przed świętami, dla wielu takich, którzy z szeregu ubyli.

W wiosce Austryacy zwracali się do nas z szacunkiem: „strzelcy dobrze się biją." Czego tylko zażądaliśmy, dawano nam natychmiast.

„...Naród jest wrodzoną ideą, którą członkowie jego, w jedno spojeni, urzeczywistnić się starają. Jest jedną rodziną, mającą swoje rodzinne przygody i powołanie. Uważa się jak jeden człowiek w swojem dążeniu, wyobrażeniach czuciu... Bóg chciał mieć narody, jak ludzi, indywidualnemi, przez co na całą ludzkość wpływają i potrzebną tworzą harmonię... Cała różnica między narodem a człowiekiem jest, że człowiek może zginąć dla narodu, ale naród dla ludzkości nie może, wtenczas, gdy ma swoje sumienie, gdy się czuje narodem. Owszem, każde indywiduum w dojrzałym narodzie poświęci życie dla tego, aby naród jego żył dla ludzkości. Gdybyśmy ten nasz naród, światu potrzebny, tak drogo krwią dotąd utrzymany, zamordować dali, do ostatka go nie bronili, zasłużybyliśmy razem z mordercami naszymi na piekło, którego przedsmak już nam na tej ziemi czuć dali."

(K. Brodziński: Mowa o narodowości.)

„...Wszystkie pomyślenia, mowy i czyny wasze świętemi i szlachetnemi niech będą, jak sprawa wasza."

(K. Brodziński: Posłanie do Braci Wygnańców).

Polityka i młodzież.

Młodzież słyszy wyraźniej i czuje goręcej, co się w około niej dzieje. Lekkomyślnością byłoby mniemać lub udawać, że młodzież nie bada istoty dziejących się w około zjawisk i można mówić jej rzeczy powierzchowne lub wpajać poglądy, nie zgadzające się z rzeczywistością. Kwestya zaznajamiania młodzieży z politycznymi współczesnymi wydarzeniami w czasach pokoju stała na porządku dziennym rozlicznych narad, mogła być tak lub owak rowiązaną. Wojna, uderzając równie silnie, jak niespodzianie, w puls naszego społecznego życia, jak wiele innych spraw, tak i tę odrazu i zasadniczo rozwiązała. Nie tylko bowiem każdą rodzinę postawiła przed elementarnem pytaniem: Co z sobą czynić, jak się ratować z potopu niedoli, lecz także nawet bardzo młodych zmuszała do rozstrzygania o sprawie bardzo doniosłej, o sprawie udziału czynnego w wypadkach.

Był to mus równie nieodzowny i równie wzniosły, jak czasem bywa uratowanie dziecka z płonącego domu przez kilkunastoletnie chłopię. Nie mając państwa, nie mogąc sami zadecydować, kiedy i kto ma iść, uczynić musieliśmy, jak dawniej: każdemu pozostawić wybór.

Ten „system“ narodowej rekrutacyi ma nieporównaną zaletę: moralną siłę wojska, ma wielką wadę: nie ustanawia granic wieku. Bo kiedy powoływa się tylko ochotników, nie wiek rozstrzyga o prawie udziału w wypadkach, ale rozmach i zapał jednostki (poparty oczywiście odpowiednimi kwalifikacyami fizycznymi). Nie ustanawia się granic wieku, ponieważ twardy los nakazuje procent opornych z roczników starszych zapełnić procentem ochotnych z roczników młodszych. Mówimy zaś o tem i dlatego jeszcze, że zgłaszający się ochotnik wojskowy składa przez to samo w danych warunkach dowód takiej energii moralnej, że, jeśl posiada fizyczne uzdolnienie, nie ma się prawa usług jego odrzucić. Nasz naród żyjący, który stanowi wraz z ziemią Ojczyznę naszą, zawiera w sobie taką jedność ideałów i pragnień, że za nie walczyć i ginąć wielu Polakom wydaje się, na szczęście przyszłości narodu, obowiązkiem pierwszym i zrozumiałym bez pytań i wahań.

Któż więc ze współobywateli może rodakowi zabronić, odmówić prawa zaszczytu walki o Ojczyznę? Któż może komukolwiek, kto zdatny jest do noszenia broni, powiedzieć: nie puszczam Cię, nie pozwalam? Wiele tysięcy prześpi gnuśnie życie bez śladu dla współczesnych, bez pożytku dla najbliższych. W ogniu świętej walki, gdy los zdarzył im sposobność podjęcia z drugimi miecza — wyrośliby w ludzi czynu, we współuczestników przyszłości narodu, przetarliby się na kruszec szlachetny. Gdyby zaś gwizd kuli karabinowej przerwał im młody oddech — grób ich zdobiłaby pamięć najpiękniejszym z ludzkich kwiatów: kwiatem wdzięczności i hołdu zarazem.

Nie o losy żołnierskie w tej chwili chodzi, lecz o otwarcie dla całej młodzieży szrank narodowego życia w najwyższem jego napięciu podczas wojny. Otwarcie dokonało się automatycznie bez wszelkich zapowiedzi. Młódź polska z prawa tego skorzystała i w poważnej części wzięła na siebie nawet część trudu o wywalczenie narodowi lepszej doli. Walka o wolność, jakkolwiek świętem jest dziedzictwem i niezatracalną narodu dążnością, w przejawach swych pewnych i okolicznościach towarzyszących jest dla współczesnych ludzi — czynem politycznym.

Stąd udział młodzieży w wojnie, udział konieczny i ze wszech miar usprawiedliwiony, popchnął ją na arenę działań politycznych i pośrednio, ale bardzo realnie, przymusił do zajęcia się bieżącymi sprawami politycznymi. Odnosi się to także do młodzieży, która czy niedostatecznie silna, czy od źródeł ożywczych odcięta, czy swojej kolei czekająca — przypatruje się wypadkom, gorący w nich duchem udział biorąc. Jednakże dla tej części młodzieży sprawy polityczne nie mają stosunkowo ani części tego piekącego posmaku a czasem decydującej wagi, co dla młodzieży żołnierskiej.

Sprawy polityczne (na całym świecie tak jest, a u nas szczególnie) dla współczesnych przybierają oblicza wręcz nie do rozpoznania. Najpiękniejsze oblicze, oglądane przez lupę, ukaże, choćby drobne niedokładności lub skrzywienia. To, co dla potomnych wydaje się prostem i jasnem, dla współczesnych bywa labiryntem prawie bez światła.

Pochód tysiąca ochotników Garibaldiego w pięknie pisanym podręczniku historyi urasta do legendy, której bohater nie napotykał przeszkód, a sama bogini zwycięstwa kierowała jego rydwanem. Późniejszy bohater narodowy Garibaldi stał w sprzecznym ogniu opinii i tylko jego niezachwianej niczem wierze w przyszłość zawdzięczają kłótliwe państewka włoskie swe zjednoczenie.

Dzieła swego dokonał Dąbrowski w takich warunkach i wśród takich trudności, że wytrwałość jego i obojętność na bezmyślne ataki stoi na równi ze stoicką odwagą w boju.

Tysiąc przypadków i tysiąc wrogów — grozi każdemu zbiorowemu czynowi. A polityka, dotykająca bezwzględnie świętości narodowych, jest własnie sztuką ominięcia przeszkód. Im więcej ich jest, tem zawilszą droga ku — swobodnemu wyjściu. Młodzież powinna i może to zrozumieć. Oceni ona należycie wszelkie pokusy wkraczania do świątyni narodowych ideałów z ustami pełnymi politycznych wykrętów, z nogami zabłoconymi na niepewnych drogach kompromisów z wrogiem i jego przedajnem przedstawicielstwem. Młodzież zrozumie, że wprawdzie walka o wolność łączy się z koniecznością układów i innych politycznych aktów, lecz będzie wiedziała, że ci ją naprawdę prowadzą, którzy zabezpieczają jej przyszłość przez walkę o wolność i pracę w pokoju, przez nieubłagany pochód w kierunku jedynym, w jakim zbiorowość polska, i starcy i młodzi, iść winni. Kierunek ten wyznacza orężna siła narodu i jej na drodze wolności zwycięstwa.

Wśród nieszczęść i strasznych doświadczeń — Polsce, jedynej z narodów przysługuje przejmujące prawo do powiedzenia: najmłodsi stanęli w szeregu w ochotnem poczuciu, że aby powstać jak dąb, przegięty aż do ziemi, nie tylko korzenie, trzeba mieć zdrowie i młodymi liśćmi się obsypać. To jest polityka młodzieży polskiej — i taką winna zawsze prowadzić, aż do szczęśliwej narodu przyszłości. W. R.

Z Polski dzisiejszej.

29. listopada. — Śmierć generała Sowińskiego.

Rocznica listopadowa miała w tym roku znaczenie wyjątkowe. Obchody narodowe w Galicyi nie są nowością. Miejmy nadzieję, że w tych szczególnych warunkach, w jakich już po raz drugi w ciągu wojny, społeczeństwo galicyjskie święciło pamięć wielkiego wysiłku bohaterskiego, było w obchodach tych coś więcej, niż przyzwyczajenie lub przelotne podniesienie ducha. Tem bardziej, że świeża fala uderzyła w ten dzień o serca nasze, płynąc ku nam z tych stron, gdzie do tej pory rocznice narodowe mogły być święcone tylko w najściślejszej tajności. Wielka część Królestwa, ta mianowicie, która znajduje się pod zarządem austryackim, mogła w tym roku swobodnie i z jawną uroczystością oddać hołd bojowi polskiemu z 30/31 r. To też nie było miejscowości, gdzieby z tych nowych warunków nie skorzystano. Obok nabożeństw, wieczorków uznano słusznie za jeden z głównych punktów: odczyty, które żywem słowem wiązały chwilę dzisiejszą z bohaterstwem przeszłości naszej.

Warszawa uczciła dzień pamiętny, czem mogła. W zamkniętych kółkach i w szkołach odczyty i śpiewy narodowe. Ponadto wyszły na światło dzienne książki, które do tej pory musiały pozostawać w ukryciu, między innemi: Goszczyńskiego „Noc Belwederska“, Garczyńskiego „Wspomnienia z czasów wojny narodowej“, Mochnackiego „Noc 29. listopada w r. 1830“. Z nowszych: Artura Śliwińskiego „Powstanie listopadowe“, pod tymże tytułem broszura St. Szpotańskiego i wydana przez uniwersytet ludowy praca Natalii Gąsiorowskiej i E. Jezierskiego: „Pamiątka 29. listopada 1830 r.“

W Lublinie uroczystość, poza odczytami, nabożeństwem, przedstawieniem „Warszawianki“, odbiła się poważnem echem w prasie i wydawnictwach. Ukazała się nakładem Wydziału Narodowego Lubelsbiego jednodniówka, bardzo ładnie zredagowana i ozdobiona dobrze wykonanemi portretami. Z jednodniówki tej podajemy opis śmierci generała Sowińskiego (pióra K. Świerczewskiego):

Najważniejszym punktem obrony była Wola, gdzie dowodził generał Sowiński, mając pod rozkazami swemi 1200 ludzi z paru armatami. Na tą pozycyę przypuścił Paskiewicz wściekły atak, poparty ogniem 76 armat. Szły bataliony za batalionami na osamotniony ostróg, po bohatersko odpierający wysiłki wroga i depcząc po poległych stosach współbraci dochodziły do szańców Woli, a tam marły pod bagnetami polskiego żołnierza. — 22 bataliony Pahlena, nie mogąc wytrzymać, cofają się w bezładzie. Wtedy Paskiewicz rzuca na szańce Woli nowe pułki Martynowa, Kreutza i Berga i mrowie nieprzyjacielskie pijane i wściekłe zaczyna zalewać samotną redutę, a na pomoc jej nie śpieszy nikt. Major Dobrogojski, tchórz i pijany, na widok otaczającego zewsząd nieprzyjaciela uciekł, pociągając za sobą część obrońców, którzy dotąd po bohatersku głowy swe składali na straconym posterunku. Lecz Sowiński czuwa, kupi garstkę ściśniętą zewsząd, przygniataną nawałą Moskali, cofa się z nią krok za krokiem, drogo sprzedając swe życie, pokotem trupów nieprzyjacielskich ścieląc sobie drogę do śmierci.

Rozwścieczone żołdactwo napiera na kościołek, gdzie przy narożniku południo-zachodnim skupiła się ostania garstka obrońców Woli, obrońców Warszawy, honoru narodu całego! Napróżno wzywają do poddania się Sowińskiego, bohaterski jenerał kaleka woła do swych żołnierzy: „Ognia do ostatniego ładunku, a po ładunkach kolbami i bagnetem, wiara!!!“

Aż wreszcie pchnięty kilkakroć bagnetem, pada na strzaskaną armatę, w ostatniej chwili życia tak groźny jeszcze swym wrogom, że broń im z ręki wypada. Wola zdobyta, zaledwie 100 jeńców wróg stamtąd wyprowadza — reszta po bohatersku poległo.

Przemoc fizyczna odniosła pozornie zwycięstwo, liczba zatryumfowała nad mocą duchową i bohaterskim poświęceniem dla sprawy. Takby się zdawało, gdyż Wola zdobyta otwierała drogę do Warszawy, czyniła niemożliwy dalszy opór wojskowy. Tak, mury Warszawy zdobyte zostały, mury Stolicy Polski, ale tam na zrujnowanych szańcach Woli zatryumfował duch niepożyty narodu, ponad stosem poległych bohaterów jak dumny sztandar wznosi i powiewa — idea nieśmiertelna, idea wiernej służby Ojczyźnie, co każe raczej umierać do ostatniego, niż podle uginać karku pod obrożę przemocy.

Z pobojowiska kultury. (ab.) Chciałem tu dać wyraz tym wrażeniom niezatartym, jakie zostawiło we mnie kilka rozmów z Witkiewiczem. Chciałem utrwalić tę szczególną, jedyną atmosferę, która wionęła z słów jego, płonących ogniem Młodości, a tak zarazem mocnych głęboką i czystą mądrością. I chciałem wspomnieć, jak przed laty kilkunastu, roztaczając przed nim myśl o piśmie, zamierzonem przez grono nasze, dostałem w zamian gorące potwierdzenie: Byle naprawdę w dal! Trzeba myśl i wolę wytężyć ku celom odległym, najtrudniejszym, bo tylko dzięki im zyskuje się siłę działania twórczego i na dzień dzisiejszy!... Ale przeczytałem właśnie „Ostatnie słowa“ Stanisława Witkiewicza. I widzę, że wspomnień nie trzeba, aby przybliżyć tę duszę płomienną tym, co się z nim nie mieli sposobności zetknąć. Dość wczytać się w te karty. Do ostatniej chwili, do tej, w której sam, z nadludzką siłą, wypowiada: „a ja, jako się rzekło, umarłem“, pozostaje taki sam, pełen ognia młodzieńczego i mądrości głębokiej i jasnej. Tak samo zawsze mocą żywotności wewnętrznej panujący nad chorobą, całem czuciem i troską całą skupiony tylko w tem jednem: byle Polska żyła i rosła! I zawsze tak samo radosny z wszystkiego, co o tem życiu i potężnieniu świadczy, a bezwzględnie potępiający wszystko, co siły narodu pęta, wielkość jego kurczy i przyszłość zaciemnia i paczy. Apostołem bohaterstwa, a więc wrogiem małości jest Witkiewicz. Ale zasadą jego: chwytajmy się jasności, a nie nurzajmy się w mrokach! Chory, spragniony jakiegokolwiek udziału czynniejszego w wielkiej chwili dziejowej, a świadomy braku sił, uczy jednak zdaleka, jak trzeba radować się tem, co nowe i radosne, a nie tkwić myślą w tem, co stare i zgniłe.

Urywki z „Słów ostatnich“ podawać będziemy w zeszytach następnych, a tymczasem niech nas zjednoczy, pomimo różnych stopni bliskości, to pozdrowienie z za grobu:

„Przyjaciołom, życzliwym i każdemu człowiekowi w imię Polski myślącemu — pozdrowienie.“

*

(ab) Śmierć Stanisława Maszewskiego w niewielu pismach polskich znalazła echo należne. Moze z winy tej zawieruchy wojennej, wśród której on, zdala od ognisk główniejszych kultury naszej, przebrzmiał zgłuszony, jak ton czysty a słaby pośród zgiełkliwej orkiestry. A może i dlatego, że zawsze był cichy i spokojny i w ciszy, zdala od rozgłosu, szukał dla siebie pracy skupionej a owocnej. Był wychowawcą młodzieży. Obcy i niechętny w głębi duszy wszystkim zaskorupiałym formom nauczania szkolnego, oddał się temu szczytnemu zadaniu dopiero wówczas, kiedy otwarła się możność działania, wolnego od szablonów, działania z duszy na duszę, w ognisku wielkiej sprawy wychowania narodowego. W takiem ognisku, założonem przez Ks. Jana Gralewskiego, w Starej Wsi pod Warszawą, widziałem ś. p. Maszewskiego na stanowisku kierownika. I wtedy jasną mi się stała tajemnica wielkiego jego wpływu na skupiającą się przy nim młodzież: Oto był tam ojcem rodziny, tak jak był poprzednio tylko u siebie, w otoczeniu żony i dzieci. Tasama wyrozumiała miłość przy stanowczości nawet nieugiętej, tasama prostota i swoboda i żartobliwość — obok powagi, zniewalającej do szacunku i posłuszeństwa dobrowolnego. Kochało go otoczenie, starsi i młodzież — któżby mu był chciał przykrość sprawić? Ufało jego rozwadze i rozumowi — i przeto nie miało o co się z nim sprzeczać.

Sprawa, której Maszewski był gorącym a cichym bojownikiem, dziś jeszcze wciąż jest u nas ledwie w zaczątkach. Ale rozwija się, postępuje, a kiedy się stanie ogólnie i głęboko pojętą potrzebą kultury narodowej, on będzie jednym z pierwszych i najpożądańszych wzorów wychowawcy ojca młodych.

*

(j. ch.) Mnożą się mogiły. Nietylko w polu, ale wśród tych bojowników, których walka niema w sobie nic ze szczęku oręża i świstu kul. Śmierć zabrała wśród innych zasłużonych Tadeusza Pawlikowskiego. Zasługi jego ocenić może niewielu: grono aktorów z nim pracujących i kilku „wybranych“ z widowni; więc na pozór wydawaćby się mogło, że praca dyrektora teatru wielkiego dorobku kulturze nie przysparza, zwłaszcza teatru dzisiejszego, który jest przeważnie tylko mniej lub więcej kulturalną zabawką dla posiadających pieniądze. Ale nie o to chodzi. Pawlikowski, zmarły w roku wielkiej wojny, był jednym z takich, których życiorysy czytamy pośród strat Legionu: szermierzem idei, rycerzem bez zmazy, walczącym niezłomnie o czystość praw sztuki. Był jednym z tych, co nie umiejąc kupczyć swoją prawdą, walczą przeciw największemu naszemu wrogowi: ciemnocie, powszedniości, sobkostwu. Wróg podstępny, zajadły i najokrutniejszy, bo niewidzialny prawie i nieuchwytny. Charaktery takie, jak śp. Pawlikowski, są — żeją wśród nas... One właśnie świadczą najwymowniej o bogactwie, na które nas stać, — gdyby grunt mógł sprzyjażó ziarnu.

Nowa era szkolnictwa polskiego. Ażeby nie krzewić bezkrytycznego optymizmu, powiedźmy raczej: początek, zapowiedź nowej ery. Tak w każdym razie należy określić, to, co zakwita dziś w dziedzinie szkolnictwa, w oswobodzonej od dozoru rosyjskiego Polsce. Już sam ten fakt oswobodzenia — nie wątpimy, że na zawsze — jest bogatem źródłem nadziei na przyszłość. Nadzieje te umacniają się jeszcze, kiedy sobie uprzytomnimy jak społeczeństwo samo, a nadewszystko stolica nasza, Warszawa, okazały w zmienionych warunkach stanowczość i energię, która obcych zdumiewała, a nas spokojną otuchą napełnić winna. Wojna i związana z nią okupacya nie są oczywiście czynnikami, odpowiedniemi dla wytworzenia jasnej, bez mgieł, atmosfery. Ale wojna i okupacya to zjawiska przejściowe, a kiedy miną, wówczas dopiero okaże się, jak wszystko na polu szkolnictwa, od powszechnego nauczania aż do wszechnic polskich, zawdzięczamy własnej wewnętrznej energii społecznej. Siła ta w tem, co przyjdzie, tylko wzrosnąć może. Powiększą się szeregi młodzieży uniwersyteckiej, bez której Warszawa tak długo się musiała obchodzić. Ci zaś, którzy w najcięższych warunkach, umieli społeczeństwu dać pęd ku działaniu stanowczemu, potem, po rozproszeniu się mgieł, potrafią tem pewniej wykrzesać z ogółu zdolność i środki do prowadzenia spraw własnorządnie. — W jednym z najbliższych numerów „Świtu“ postaramy się dać dokładny (o ile dane na to pozwolą) obraz stosunków szkolnych i udziału w nich społeczeństwa i władz okupacyjnych. Jak zaś młodzież zrozumała doniosłość chwili, o ten świadczy następujący adres wręczony przez jej delegatów przewodniczącemu wydziału oświecenia, p. Józefowi Mikułowskiemu-Pomorskiemu:

„Wam to, czcigodni panowie, tobie, czcigodny prezesie, zawdzięczamy urzeczywistnienie naszych gorących pragnień, osiągnięcie celu walk i ofiar ubiegłego dziesięciulecia, walk o wyższe polskie uczelnie. Dziś wreszcie, dzięki waszym trudom i staraniom, otwarły się dla nauki waszym polskiej, dla tego, co jest koroną kultury narodowego geniuszu. Szczęśliwie się czujemy, że przypadł nam w udziale niezasłużony zaszczyt stawania w przedniej straży tych licznych zastępów, które — silnie w to wierzymy — rok za rokiem, pokolenie za pokoleniem, wypełniać będą mury tych naszych ukochanych uczelni, aby z nich czerpać skarby myśli i bogacić niemi ojczyznę naszą. Dla jej pożytku, rozwoju i chwały poczynać będziemy każdą myśl naszą, a owoce naszej pracy, niecąc hojnie życie umysłowe w odrodzonej Polsce, będą dla was, czcigodni obywatele, najlepszą nagrodą zasług, położonych w wielkiej dla narodu sprawie. Cześć wami dzięki.“

Adres, ozdobnie na pergaminie napisany, zaopatrzony jest w podpisy kilkuset studentów i słuchaczów: uniwersytetu, politechniki, wyższych kursów naukowych, kursów przemysłowo-rolniczych, wyższych kursów handlowych im. Zielińskiego, kursów pedagogicznych Miłkowskiego.

Siła chłopska. Mickiewicz, starając się gdzieś wyrazić, jak trzeba stać upornie przy wyższej prawdzie swojej, jak się nie dać z niej zbić żadnemi przeciwnościami, nie znalazł określenia lepszego nad to: siła chłopska. W czasie wojny obecnej nieraz już podawano przykład spokoju i wytrwałości, z jakimi chłop polski wśród największych niebezpieczeństw pracuje na ukochanym zagonie swoim. Ale to jest niejako miłość przyrodzona, jak gdyby żywiołowe przywiązanie, często z ową prawdą wyższą nie mające żadnej łączności, lub tylko bardzo pośrednią. W następującym fakcie, opowiedzianym w jednodniówce robotniczej „Czyn“, wydanej staraniem siedlecko-lubelskiej organizacyi P. P. S., wiąże się już ta siła pierwotna z świadomą miłością Ojczyzny i staje się przez to wzorem dziwnie głębokim i szczytnym. Opowiada młody chłop, który wywieziony z Galicyi przez Moskali, zdołał im umknąć. Wraz z kilkudziesięciu towarzyszami zapędzono ich aż do Brześcia:

„Pytali nas tam, czy chcemy pracować? Odpowiedzieliśmy, że jeśli zapłacą nam — to czemu nie? My z pracy żyć zwykli, tylko jedno: byle nie przeciw braciom, to jest byle okopów nam nie kazali sypać. Wyszedł wówczas jakiś młody pułkownik rosyjski i zapewnił nas, że ... nie przeciw braciom . . Uspokoiliśmy się tem. Nazajutrz już jednak po tym dniu „zrobili nam zbiórkę“ i zapytali: czy chcemy iść do okopów? Powiedzieliśmy, że nie — i basta.“

Nasłano im żołnierzy polskich, których los zmusza do wysługiwania się celom rosyjskim. „Zaczęli nas namawiać, byśmy się nie „buntowali“, że mogą nas kazać wystrzelać, jeśli okopów robić nie będziemy, że to przeciwko Niemcom i t. p. Posłalismy ich do dyabła i gdy pułkownik nas zapytywał później; „Nu, cóż rebiata, pojdieta okopy sypać?“, odparliśmy hurmem: „Nie! Niech się dzieje wola Boża. Położym głowy na obcej ziemi, a do okopów nie pójdziemy.“ Przyszedł do nas wówczas generał stary, orderami okryty, kazał ustawić przed nami dwa karabiny maszynowe i trzy razy zapytywał nas, czy będziemy osypać okopy. Gdyśmy odrzekli, że „nie!“, powiedział: Będziecie wszyscy leżeć, jak snopy w polu.“

Ale i ta, jak się okazało, pogróżka tylko nie zdołała złamać chłopskiej siły. „Kazali nam wtedy włożyć sobie na plecy wielgachne worki i biegać dwie godziny tam i z powrotem. Gdyśmy się zmęczyli, zapytywali: Pójdziecie teraz okopy sypać? Potem, gdyśmy twardo stali na swojem, kazali nam do błota z workami kłaść się, wstawać i znowu kłaść się, a gdyśmy po raz drugi, czy trzeci upadli, zapytywali nas kozacy: „Czy pójdziecie do okopów?“ dając każdemu z nas po 5 nahai. Ale my nic — i nic. Niech sie dzieje wola Boża; Położym głowy, jeśli trzeba, a przeciw braciom nie pójdziemy“.

Książki.

W dziale tym podawać będziemy z ukazujących się dziś książek tylko te, które czytelnikom naszym możemy polecić.

Sieroszewski W. Józef Piłsudski. Kraków, Nakł. Centr. Biura Wydawn. N. K. N.; odznacza się godną przedmiotu prostotą i szczerością ujęcia.

Witkiewicz St. Ostatnie słowa. Wyd. „Wiadomości Polskich“ w Piotrkowie; obacz w numerze tym dział „Z Polski dzisiejszej“.

Jaworski Wł. L. Mowy 1914–1915. C. B. W., Kraków; wiele myśli pożądanych, wyrażonych stylem męskim, zwięzłym i jasnym.

Grudziński-Pększyc. Zapiski porucznika. C. B. W., Kraków; o książeczce tej pomówimy jeszcze w „Świcie“.

Rostworowski M. Wojna a społeczeństwo polskie. C. B. W., Kraków; spokojne i objektywne, w stylu (ze względów cenzuralnych) nieco zawiłe przedstawienie dzisiejszej naszej ideologii politycznej.

Tokarz W. Żołnierze Kościuszkowscy. C. B. W., Kraków; z dziejów wojskowości polskiej szkic, przejrzyście i zajmująco ujęty; rysunki W. Mitarskiego wyszczególniają się bardzo dodatnio z pośród wielu prac doby dzisiejszej.

Żeromski St. Sen o szpadzie. Kraków. Księg. Krzyżanowskiego (wyd. nowe).

Rydel L. Warszawa i jej dzieje kulturalne i wojenne C. B. W., Kraków (popularne).

Musiołek J. Rok 1914. Przyczynek do dziejów Brygady Piłsudskiego. Kraków; pierwsza próba ujęcia historycznego.

Legiony polskie. 16. sierpnia 1914 — 16. sierpnia 1915 Piotrków; zbiór artykułów, odezw i innych ważnych dokumentów.

Milewski Ed. Kooperacya i jej znaczenie w Polsce C. B. W. Kraków; przystępnie napisana praca o sprawie, która do najdonioślejszych u nas należy.

Od Administracyi.

„Świt“ prenumerować i nabywać można w lokalu Administracyi w Wiedniu, (I. Wipplingerstrasse 12) i w księgarni M. Perlesa (dział polski p. Hasklera, I. Seilergasse 4). W Krakowie, Lwowie, Piotrkowie, Lublinie, Kielcach i wogóle w Galicyi i pod zarządem austryackim zostającej części Królestwa, w biurach dzienników i księgarniach.

Na fundusz prasowy „Świtu“ złożyli:

J. E. Ks. Biskup Bandurski	K 40
JWP. Bouerowa	„ 100
JWP. Hr. Mycielska	„ 50
J. E. br. Ziemiałkowska de Dylewo Dylewska . . .	„ 50
Na listę JWP. Z. Wasserbergerowej	„ 28
razem . .	K 268

Kierownik: Andrzej Boleski. — Red. odpowiedz.: Henryk Oppitz. Druk: I. Steinmann, IX. ul. Uniwersytecka 6–3.